

Syjniści, czyli sprzymierzeńcy uniwersytetu

Muszę przyznać, że moją nadzwyczajną ciekawość wzbudziła karczemna draka, jaka właśnie wybuchła wokół najślawniejszych amerykańskich uniwersytetów. Oto w ostatnią sobotę 9 grudnia, w rezultacie krótkiej, ale wyjątkowo agresywnej nagonki, zmuszono do nagłej dymisji władze Uniwersytetu Pensylwanii: zarówno tamtejszą panią rektor Liz Magill, jak i szefa uniwersyteckiej rady powierniczej, odpowiedzialnego za finanse.

Z rosnącym zaciekawieniem czekam teraz na wieści z Harvardu oraz MIT, albowiem sfeminizowane władze tych sławnych bostońskich uniwersytetów oskarżone są o te same zbrodnie, jakie popełniły władze Penn. A nieszczęściem jakie spotkało wszystkie trzy panie rektor stało się ich przesłuchanie na Kapitolu przez komisję ds. edukacji amerykańskiego Kongresu, we wtorek 5 grudnia.

Była pani rektor Magill – to w końcu nie byle kto w amerykańskim świecie akademickim; to czołowa postępową profesora prawa, wcześniej wieloletni dziekan Law School na Uniwersytecie Stanforda, gdzie zasłynęła reformą polegającą na wymianie 1/3 kadry naukowej. A z kolei na portalu Penn zachwalana jest jako rektor, który „przeprojektował całe życie studenckie, kładąc nacisk na różnorodność oraz inkluzyjność”. Słowem – pani Magill, podobnie zresztą jak jej atakowane teraz koleżanki – rektor Harvardu Claudine Gay oraz MIT – Sally Kornbluth, to są reprezentantki supernowoczesnej idei

uniwersytetu, którego główną społeczną funkcją ma się stać postępowe pranie mózgów, górujące nad staromodną wiedzą i nauką. Pani profesor Gay jest specjalistką od nadzwyczaj modnych teraz w Ameryce studiów nad „tożsamością afroamerykańską”, zaś pani profesor Kornbluth, biolog, słynie ze skutecznej operacji kadrowej, jaką przeprowadziła jako rektor Uniwersytetu Duke, gdzie po ideologicznej kampanii udało się jej zastąpić we władzach dziekańskich na niemal wszystkich wydziałach białych mężczyzn – kobietami różnych ras.

Tymczasem posłowie do Kongresu chcieli przedyskutować z szefostwem czołowych uniwersytetów kwestię masowych propalestyńskich wystąpień studentów i nauczycieli akademickich, podczas których padają agresywne hasła przeciw Żydom oraz nawoływania do utworzenia Palestyny „from the river to the sea”, co w Izraelu interpretuje się jako tylko lekko zawoalowane wezwanie do powtórki z Holocaustu. Kulminacyjnym punktem owych przesłuchań okazało się jedno pytanie, jakie kolejno każdej z trzech pań rektor postawiła konserwatywna posłanka z Nowego Jorku i stronniczka Trumpa, 39-letnia Elise Stefanik. Brzmiało ono tak: „Czy nawoływanie do ludobójstwa jest w sprzeczności z zasadami twojego uniwersytetu, dotyczącymi zastraszania i molestowania? Tak, czy nie?” Kornbluth odpowiedziała, że gdy idzie o MIT, to „nie słyszała takich wezwań na uniwersyteckim kampusie”. Magill odrzekła, że w świetle zasad Penn, taka sprzeczność zachodzi dopiero wtedy, „gdy słowa zamieniają się w zachowania i wtedy można to uznać za nękanie”. Zaś Gay zaczęła tłumaczyć, że cała rzecz „zależy od kontekstu”, albowiem „jesteśmy zobowiązani do respektowania swobody wyrażania poglądów, nawet niewłaściwych...”. Ale tu pani poseł Stefanik „zakrzyczała ją” (jak relacjonują gazety), konkludując, iż: „wszystkie musicie się podać do dymisji”.

I tak postępowe panie rektor trzech sławnych uczelni z „Bluszczowej Ligi” (czyli dziesiątki najlepszych uniwersytetów świata) stały się z dnia na dzień napiętnowanymi antysemitkami. Potępili je lewicowi gubernatorzy stanów, w których leżą ich uczelnie, postępowe organizacje zwalczające rasizm i antysemityzm, a nawet w ostrych słowach Biały Dom. Ale co jeszcze bardziej dotkliwie, szereg wielkich donatorów, często związanych z żydowskim światem finansów, zadeklarowało natychmiastowe zakończenie wpłat na rzecz uniwersytetów. A przecież cała „Bluszczowa Liga” – to uczelnie prywatne, działające dzięki potężnym donacjom. Można łatwo sobie wyobrazić, jakim szokiem musiała być dla postępowych pań rektor, zdobywających dotąd władzę, uznanie i popularność na wspieraniu radykalnych ruchów przeciw trumpizmowi, rasizmowi, faszyzmowi, homofobii i mizoginii, całkiem nowa sytuacja, w której nagle same wystąpiły w roli antysemitckiego ciemnogrodu, napiętnowanego przez wszystkich, łącznie z oburzonym amerykańskim prezydentem. A one przecież nie czyniły i tym razem niczego innego, niżli dotychczas. Tak jak zawsze, stały po stronie swoich studentów i nauczycieli akademickich piętnujących rasizm, który tym razem ma twarz izraelskiego syjonizmu, walcząc w obronie uciemnionych mniejszości – tym razem kolorowych Palestyńczyków. Dlaczego zatem dotąd walka z rasizmem dawała im władzę i sukcesy, a teraz ta sama walka przynosi osobistą katastrofę?

To oczywiście tylko moje własne wyobrażenie na temat tego, co mogą teraz sobie myśleć i czuć trzy postępowe panie rektor, a wraz z nimi być może większość postępowych władz akademickich na amerykańskich (i nie tylko amerykańskich) uniwersytetach. Rzecz w tym, że rektor Magill i jej koleżanki padają ofiarą zjawiska całkowicie paradoksalnego, które z czasem może rozsadzić uniwersytety od środka. To co mówiły na

Kapitolu wyraźnie sugeruje, że zaślepienie swymi postępowymi doktrynami, nie rozumieją natury owego paradoksu. Odkąd przez czołowe uniwersytety amerykańskie przewaliła się potężna fala ruchu BLM, otwarcie wrogiego całej zachodniej tradycji kulturowej, uniwersytety owe jeszcze szybciej niż dotąd zaczęły się przeobrażać w duchu postępu. Praktycznie miało to dwojaki wymiar, co pokazują empiryczne badania, przeprowadzone na dziesięć uniwersytetów „Bluszczowej Ligi” przez Ebbinghousa i Huanga, publikowane na łamach „Political Studies Review” [nr 4/21]. Pokazują oni po pierwsze, że na wszystkich tych uniwersytetach ich nowe władze utworzyły studia kobiece, studia afro-azjatyckie oraz studia queer/lgbt, cieszące się teraz ogromnym zainteresowaniem. I po drugie, że zaprowadzona nowa akcja afirmatywna sprawiła, że skokowo zmniejszył się w nich odsetek białych studentów.

W konkluzji tych badań autorzy (którzy są zresztą zwolennikami postępowych przemian) uczciwie stwierdzają, że gwałtowny wzrost liczby kolorowych studentów „nie daje się uzasadnić wynikami egzaminów”, a jego przesłanką są „bardziej inkluzyjne procesy rekrutacyjne”. W dziesięć „Bluszczowej Ligi” jeszcze tylko na dwóch uniwersytetach (Brown i Penn) nie zastąpiono całkowicie „formalnych testów wiedzy holistycznymi kryteriami przyjęć” (tak przynajmniej było w roku 2021). Z innych badań (Mossa i O’Connora, publikowanych w „PLOS ONE” w roku 2020 i swego czasu omawianych rzetelnie przez „Gazetę Wyborczą”) wiemy z kolei, że ¼ profesorów i aż 4/5 doktorów amerykańskich uniwersytetów opowiada się za napiętnowaniem i usuwaniem nauczycieli akademickich o „niewłaściwych poglądach na płęć albo imigrację”. To oczywiście nie są jakieś szczególne nowiny, raczej fakty pokazujące skalę zachodzących przemian uniwersytetu. Ale jedno wynika z tego jasno: w takim nowym ideowym klimacie

najlepszych uniwersytetów władze akademickie muszą się rekrutować z kręgu lewicowych intelektualistów, identyfikujących się z celami kontrkulturowej rewolucji.

Nie tylko zatem dla tych kolorowych studentów, białej „młodej lewicy”, dla aktywistów gejowskich i antyrasistowskich, ale również dla ich profesorów i rektorów – biali syjoniści z Izraela są naturalnymi wrogami, reprezentującymi współczesną wersję nacjonalizmu i rasizmu. To też nie nowość. Mówił i pisał o tym otwarcie żydowski filozof Zygmunt Bauman, który najpierw uciekł przed antysemityzmem gomułkowskiej Polski do Izraela, by wkrótce potem uciekać z syjonistycznego państwa żydowskiego, które oskarżył o „pogłębianie dziedzictwa hitlerowskiego”. Próbował tłumaczyć ów fenomen swego czasu Finkelkraut w eseju o „antysemickiej twarzy lewicy”. Jeśli coś jest tu jednak nowością, albo i może nawet prawdziwą rewelacją, to fakt, iż zgniatająca dotąd czołowe uniwersytety kontrkulturowa rewolucja potyka się nagle i wywraca na przeszkodzie o nazwie „Izrael”. Dotąd dla tej rewolucji każdy nacjonalistyczny, rasistowski czy homofobiczny wróg mógł być łatwo wyeliminowany argumentem o „mowie nienawiści”, zaś każda konserwatywna zapora ideowa zmiażdżona z użyciem terroru politycznej poprawności. Ale antysemityzm, za który Żydzi uważają niemal każdy przejaw solidarności z Palestyńczykami, okazuje się barykadą na której postępowcy łamią sobie nie tylko kariery, ale i kręgosłupy.

Bo też wszystkie trzy postępowe panie rektor, skoro tylko uświadomiły sobie skutki tego, co powiedziały na Kapitolu, złożyły upokarzającą samokrytykę, byle utrzymać się na stanowiskach. Magill to nie pomogło, zapewne dlatego, że w przypadku Penn skala reakcji finansowej donatorów zaczęła grozić bankructwem uniwersytetu. Na

wieść o dymisji rektor Magill pani poseł Stefanik zamieściła wyzywający wpis na Twitterze: „One down. Two to go”. Nie wiem czy tak się stanie, choć – prawdę mówiąc – chciałbym, żeby tak się stało. Bo dotąd ani chrześcijanom, ani konserwatystom, ani narodowcom, ani pisowcom, ani trumpistom, ani nikomu innemu nie udaje się zahamować upadku idei uniwersytetu. Może zatem choć trochę uda się to syjonistom i ich licznym, rozrzuconym po świecie stronnikom, mającym przecież coraz mocniejsze powody, aby szczerze nie cierpieć owej postępowej miotły, która zaprowadza kontrkulturowe, ale zarazem antyżydowskie porządki, nawet na najlepszych amerykańskich uniwersytetach.

Jan Rokita